Rok 1935. 14 lipca Nr. 29

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.



Część wielkiego obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem".

GRUNWALD

Obchodzimy dziś 525-tą rocznicę Grunwaldu. Sam dźwięk tego słowa stawia nam odrazu przed oczy dwa światy, dwie potęgi, zwarte ze sobą w zapasach straszliwych, a ponad niemi trzecią — tajemniczą, wysoką, nieomylną sprawiedliwość Bożą, nawskroś przenikającą pobudki, jakie skłoniły obie strony do podjęcia śmiertelnego boju

Któż to bowiem starł się z sobą w owym pamiętnym dniu *15 go lipca, 1410 roku?* Niemcy i Polska — dwa narody, pomiędzy któremi od samych początków dziejów szła walka na śmierć i życie o to, czy Polska wogóle ma istnieć na świecie, czy też wchłonąć ją ma w siebie potężny żywioł germański.

Starły się z sobą dwie cywilizacje — polska, dopiero się rozwijająca na dobre i niemiecka, uważająca się za najwyższą w Europie. Starł się zakon rycerzy, których celem było szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród pogan, z państwem, którego władca codopiero przyjął chrzest i którego wojska liczyły między sobą pogańską jeszcze napoły Litwę i dzikie Tatarstwo, jako jej sojusznika. Starło sie Krzyżactwo, któremu w pomoc pośpieszyło rycerstwo wszystkich krajów chrześcijańskich — z Jagiełłą, którego ciągle jeszcze uważały owe kraje za poganina i który liczyć mógł tylko na własne siły, gdyż nawet wiecznie zdradzający brat Witold nie był całkiem pewny.

I starła się wreszcie na tych pamiętnych polach między Grunwaldem a Tannenbergiem potęga szatańskiej pychy z pokorą prawdziwie chrześcijańską, która ufa nie sobie, lecz Bogu, czując, że jej sprawa jest słuszna i sprawiedliwa. To też osądził Sędzia Najwyższy strony obie i wydał wyrok sprawiedliwy: starł na proch pychę obłudników, skrywających swe zbrodnie pod płaszczami ze znakiem krzyża świętego; wywyższył zaś Polskę, jako swoją wierną służebnicę, która po wielekroć jeszcze w dziejach świata miała się stać obronicielką Chrystusowej wiary.

Był to bój krwawy. Przewidywała, że takim być kiedyś musi, królowa Jadwiga i dlatego za życia swego nie chciała do niego dopuścić. Wszelkiemi siłami starała się doprowadzić między Zakonem a Polską do pokoju. Dopiero kiedy ostatnie jej próby spełzły na niczem i królowa przekonała się, że Krzyżacy ani myślą oddać Polsce to co zagarnęli, a ufni w swoją potęgę i pomoc innych, obłudnie się ze wszystkiego wykręcają i myślą jeno o zniszczeniu Polski, — porwana duchem Bożym, wypowiedziała te pamiętne prorocze słowa: „Jak długo będę żyła, król zniesie wasze nieprawości, lecz po mej śmierci kara Boża na was spadnie, a wtedy nieunikniona wojna dopełni waszego upadku“.

Przepowiednia świątobliwej królowej która nie chciała krwi przelewu, spełniła się w zupełności. W bitwie grunwaldzkiej wyrok Najwyższej Sprawiedliwości dany został przed oczy całemu światu.

PO BITWIE.

Bitwę pod Grunwaldem przedstawili dwaj najwięksi artyści polscy: w malarstwie Jan Matejko na ogromnem, barwnem płótnie, a w piśmiennictwie Henryk Sienkiewicz w znakomitej powieści „Krzyżacy“. Na pierwszej stronie „Dzwoneczka“ podajemy część boczną sławnego obrazu Matejki, przedstawiającą pojmanie i śmierć wielkiego mistrza krzyżackiego, a tutaj przytaczamy z Sienkiewicza ostatnie ustępy jego świetnego opisu, kiedy już jest po wielkiem zwycięstwie polskiem pod wodzą Jagiełły i Witolda nad Krzyżakami.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowa gotowali się właśnie zjechać na pobojowisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów.

Litwini przynieśli skłute sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało Wielkiego Mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie, i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące nawznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata... Zaczem łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu: — Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczcimy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordją rozciętem, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego grafa Alberta Szwarcberga, i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima, i grafa Wendego, który poległ z ręki Powały z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci zakonnych. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew, i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie. Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Zdala pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które żadnej szkody nie wyczyniły zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i, dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór. Więc nieżmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładnący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale i całych stuleci. A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzał jakby w zdumieniu przed siebie i wkońcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie świętej Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa...

Poczem podniósł dłoń i począł żegnać nietylko tych, co leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci, z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych. A w górze, na rumianem niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

I nietylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

MORZE.

II.

Okręt któregoś państwa na morzu — to jakby cząstka tegoż państwa, płynąca poprzez niezmierzone wody oceanu. Panują i obowiązują na nim tesame co w danem państwie prawa i obyczaje i dlatego to bandera, pod którą okręt płynie, jest nietylko jego dumą i ozdobą, ale przedewszystkiem jest to godło państwa, jego najwyższy symbol — równoznaczny jak na lądzie.

Strażnikiem praw i najwyższą władzą na statku jest jego kapitan. On nietylko odpowiedzialny jest wobec swego pracodawcy, właściciela okrętu, ale również i wobec władz państwowych swojego kraju. On może karać wszelkie przekroczenia prawa tak marynarzy, jak i pasażerów odbywających na statku podróż. Główną jednak troską, głównem jego zadaniem, jest doprowadzić szczęśliwie statek, wraz z ładunkiem i pasażerami do portu, a na statku utrzymać porządek i nieprzerwany bieg pracy. Jedynie maszyny okrętowe, utrzymujące okręt w ruchu, nie wchodzą w zakres władzy kapitańskiej. Tam panem i odpowiedzialnym kierownikiem jest „pierwszy mechanik", używający tytułu inżyniera. Od niego kapitan żądać jedynie może większej szybkości, ale do pracy w maszynach i w kotłowni nie wtrąca się.

Każdy statek wyjeżdżający z portu lub wchodzący do niego musi być przeprowadzony przez pilota portowego, który mu toruje drogę. Gdy zatem pilot machnie załodze ręką na pożegnanie ze swojej szybko oddalającej się łodzi, zwanej przez marynarzy „pchłą", wówczas już cała odpowiedzialność za los podróży przechodzi na kapitana.

Ocean czy morze — to nie droga na lądzie, gdzieby można robić znaki, według których statek miałby płynąć. A jednak każdy statek, kursujący po morzu, musi trzymać się swojej drogi, swojej linji, aby uniknąć katastrofy zetknięcia się z drugim. Linje te wykreśla się na mapach okrętowych i według nich prowadzi się statek, a służą do tego różne przyrządy, przedewszystkiem kompas okrętowy umieszczony w specjalnej kabinie. Podstawą, na której opiera się obliczanie i wytyczanie drogi okrętowi przez cały czas trwania podróży, jest południk (linja na mapie, według której liczy się szerokość geograficzną.) Przed kompasem umieszczony jest ster, przy którym pracują kolejno marynarze.

Zarówno marynarze, jak oficerowie, pracują po dwie „wachty" na dobę, a „wachta" trwa cztery godziny. Po każdej „wachcie" następuje wypoczynek ośmiogodzinny. Kapitan jeden nie ma wacht, jest czynny całe 24 godzin. Gdy śpi, zastępuje go wtedy 1-szy oficer, który ma też obowiązek notowania drogi w dzienniku okrętowym.

Ciężko pracuje w czasie podróży cała załoga okrętu, zwłaszcza pod pokładem. Najcięższa jednak jest praca przy maszynach umieszczonych na dnie statku, oraz praca palaczy, narażonych na straszliwy żar z paleniska. Mimo wentylacji panuje tam upał 50 - 60 stopni Celzjusza. Dawniej palaczami okrętowymi byli przeważnie murzyni, którzy już z natury przyzwyczajeni są do wielkiego gorąca w swoim klimacie, dziś jednak podejmują się tej pracy i ludzie biali, zmuszeni do niej brakiem innego zarobku. „Wachta" palaczy trwa zazwyczaj tylko 2 godziny. Pracują oni prawie nago, zlani są potem, umorusani na czarno, to też wyglądają jak djabły.

(Dokończenie nastąpi)